

# Włodzimierz Nahorny. Przy czarnym skrzydle pięknego fortepianu

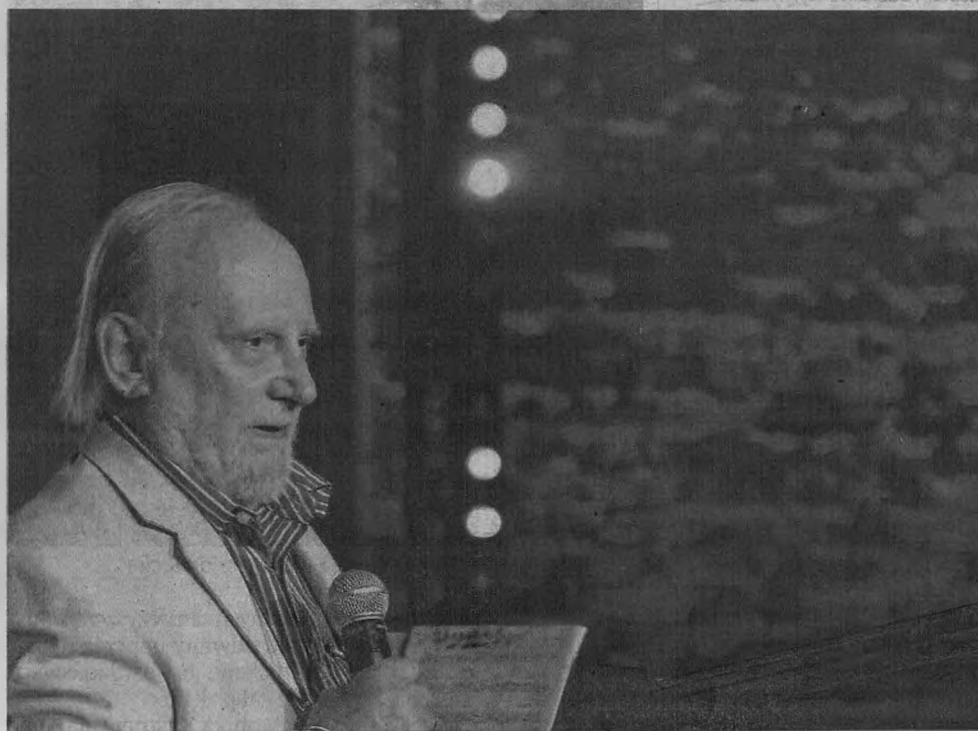
## Rozmowa

Michał Dybaczewski  
redakcja@kurierlubelski.pl

**Pianista, postać ikoniczna nie tylko dla jazzu, ale i dla muzyki rozrywkowej. Jego osobę i bogaty dorobek artystyczny najtrafniej oddaje jedno krótkie słowo: „maestro”. W środę 8 lipca wystąpił ze swoim triem jazzowym w Lublinie i przy tej okazji rozmawialiśmy z mistrzem fortepianu, Włodzimierzem Nahornym.**

**Na koncercie w Klubie Muzycznym CSK usłyszeliśmy materiał z pana ostatniej płyty „Ballad Book - okrucy dzieciństwa”. Była to sentymentalna, retrospekcyjna podróż jazzowa do czasów dzieciństwa. Jak pan wspomina tamte czasy?**

Trwała wojna, Rodzicie uciekając z Wołynia, szukając



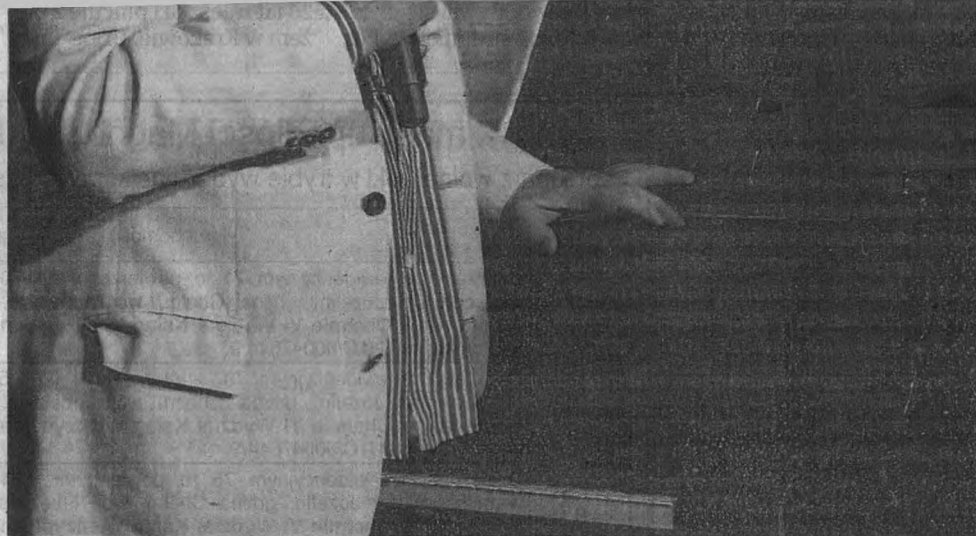
se graliśmy tzw. „chałtury”. Mieliśmy zespół z dwoma pianistami, ale to się nie sprawdzało, więc ja jako klarncista zmuszony zostałem do gry na saksofonie. Nie było to proste, bo wbrew pozorom instrumenty te są od siebie dość odległe. Mimo wszystko zacząłem grać na saksofonie na poważnie. Opląciło się, w 1965 na festiwalu Jazz nad Odrą jako trio z saksofonem w składzie zajęliśmy pierwsze miejsce w konkursie. Z fortepianu jednak nigdy nie zrezygnowałem i będąc nawet w zespole Andrzeja Trzaskowskiego grałem na koncertach nie tylko na saksofonie, ale i na fortepianie. Z racji wieku zrezygnowałem jednak z saksofonu, i to bez żalu, instrumenty dęte wymagają dużo większego wysiłku, poza tym człowiek siedzący przy czarnym

ziomem. Siłą rzeczy obracam się wśród pianistów. Wspaniały projekt miała Doro Miśkiewicz z kilkunastoma najlepszymi pianistami jazzowymi, reprezentantami różnych pokoleń. Poznałem lepiej młodzież, wspaniałych pianistów Dominika Wanię i Piotra Orzechowskiego. Możliwość grania i przebywania z młodzieżą uświadomiła mi jak wysoki jest ich poziom, jak zdolni i utalentowani są to muzycy.

**U Pana boku w projekcie „Śpiewnik Nahornego” wystąpili najlepsi wokaliści studiujący na kierunku Jazz i Muzyka Estradowa UMCS śpiewając skomponowane przez pana piosenki. Jak ocenia pan tamtą współpracę i potencjał drzemący w adeptach?**

scnromienia, trafili do Radzyna Podlaskiego. W tym mieście się urodziłem, jednak z Radzynie nie wiążę się żadne konkretne wspomnienia, bo kiedy miałem zaledwie dwa lata opuściliśmy go osiedlając się na stałe w Kwidzynie. I dopiero z tego miasta mam dziecięce wspomnienia, a ich wycinki, tytułowe „okruchy” zawarłem na płycie „Ballad Book”. Nagrałem ją, bo chciałem zebrać i zawrzeć moje odczucia z tamtych lat i przełożyć je na język muzyczny. Kompozycje, które się na płycie znalazły nie powstawały chronologicznie, stanowią bardziej retrospekcję ilustrującą moje postrzeganie z czasów dzieciństwa. Ważne znaczenie ma także oprawa graficzna albumu zawierająca rycinę kwidzyńskich budynków - m.in. poczty, kina, szkoły muzycznej - tak jak wyglądały w czasach mojej młodości i tak jak wyglądają obecnie. Niestety, budynki te są w większości bardzo zanedbane, zderzenie tych kilkudziesięciu lat było dla mnie wręcz przerażające.

**Jest pan mistrzem fortepianu, związanym z tym instrumentem od najmłodszych lat, a początki były iście spektakularne. Niemal legendą jest już anegdota, jak kilkuletni Włodzimierz Nahorny stanął w obronie fortepianu. Proszę o tej obronie opowiedzieć czytelnikom „Kuriera”.**



**Włodzimierz Nahorny: - Podczas egzaminu do liceum dowiedziałem się, że mój poziom jako przyszłego pianisty jest, oględnie mówiąc, niedostateczny**

W pierwszych latach wojennych Kwidzyn było małym miasteczkiem poniemieckim. Niemcy, w pośpiechu opuszczając swoje domy, zostawiali swój dobytek. W domu, w którym się osiedliliśmy było pianino. Grała na nim moja starsza siostra, ja również sobie na nim pogrywałem. Miałem to szczęście, że w muzyczne meandry wprowadzał mnie rozmówany w jazzie ówczesny chłopak, a potem mąż mojej siostry. Dodatkowo pobierałem lekcje muzyki w domu. Władze miasta zarządziły, że instrumenty muzyczne zostaną tylko w tych domach, w których ktoś umie na nich faktycznie grać. Podczas specjalnego przeglądu w teatrze miejskim przedstawiciel każ-

dego domu musiał obronić swój instrument przed komisją. Siostra zagrała na fortepianie, jednak nie spotkało się to z uznaniem, wówczas zagrałem ja - siedmioletni chłopak. Decyzją komisji pianino zostało w domu, ale postawiono też warunek: rodzic musieli posłać mnie do szkoły muzycznej. Tak się zaczęła moja - trochę przymusowa - edukacja muzyczna. W Kwidzynie skończyłem więc nie tylko szkołę podstawową, ale i muzyczną.

**Zaczął się od obrony fortepianu i ten instrument towarzyszy panu do dziś, jednak przez długi okres grał pan również na saksofonie.** Po skończeniu szkoły podstawowej zdawałem do lice-

um muzycznego w Sopocie. Tam dowiedziałem się, że mój poziom jako przyszłego pianisty jest, oględnie mówiąc, niedostateczny. Dostałem się na wydział inżynierski, gdzie trafiali ci, którzy mieli dobry słuch i zdolności muzyczne, ale nie dostali się do klasy fortepianu i skrzypiec. Po drobnych zawirowaniach zacząłem uczyć się grać na klarnecie i na tym instrumencie dojrzałem do końca studiów. Wówczas Trójmiasto było bardzo silnym ośrodkiem jazzowym w Polsce. 1956 i 1957 rok - festiwale jazzowe w Sopocie, pierwsze kontakty z zachodnimi muzykami jazzowymi, przyjazd quartetu Dave'a Brubecka. Wszyscy chcieliśmy grać jazz. Pragnąc podreperować finan-

skrzytanie pięknego fortepianu wygląda znacznie dostojniej (śmiech).

**Działając na gruncie jazzu, tworzył pan także muzykę popularną do tekstów Osieckiej, Młynarskiego czy Kofy, ale również muzykę filmową i teatralną. Jak pan wspomina te niejazzowe przedsięwzięcia?**

To były wspaniałe momenty. Jeszcze w Gdańsku, w czasach studenckich, współpracowałem ze Studiem Dramatycznym opracowując gotowe tematy na potrzeby spektakli, a także z Teatrykiem „Bim - Bom” i kabaretem „To Tu”. Poważne muzykowanie zaczęło się jednak po przeprowadzce do Warszawy. W stolicy zaczęła się stała współpraca z Teatrem Powszechnym Adama Hanuszkiewicza, a potem zacząłem tworzyć muzykę dla Teatru Dramatycznego. Najciekawsza z perspektywy czasu wydaje się jednak współpraca z aktorami: z Krzysiem Kolbergerem, Anią Seniuk, Teresą Budzisz-Krzyżanowską, Zbyszkim Zapasiewiczem, z którym jeszcze na dwa dni przed jego śmiercią graliśmy spektakl „Kwiaty Polskie”. Praca ze słowem mówionym, granie jazzu do poezji było niezwykłym doświadczeniem w moim życiu.

**Jak ocenia pan współczesną scenę jazzową w Polsce? Mamy tu do czynienia z niesłychanie wysokim po-**

**ziomem jazzu z Lublina?**

Niektóre utwory były ogromnym wyzwaniem ze względu na stopień trudności. Studenci poradzili sobie wokalnie wręcz doskonale. Duża w tym zasługa ich opiekuna i mentora, Mariusza Bogdanowicza, który świetnie ich do tego przygotował. Rok temu graliśmy razem plenerowy koncert na Małym Rynku w Krakowie, który był dobrze przyjęty przez publiczność. Zatem potencjał i umiejętności lubelskiej młodzieży były naprawdę duże i byłoby żal, gdyby nie kontynuowali tego, czego się nauczyli.

**Włodzimierz Nahorny Trio to najdłużej działające polskie trio jazzowe, 30-letni staż mówi sam za siebie. Jak wygląda współpraca z Mariuszem Bogdanowiczem i Piotrem Biskupskim? Czy po tylu latach można się wzajemnie inspirować, czy są kryzysy?**

Kryzysy są w każdym związku. Pandemia sprawiła, że mieliśmy okazję trochę odpocząć zawodowo od siebie, nastąpiło zawieszenie w stosunkach artystycznych. Koncert w Lublinie był naszym pierwszym od kilku miesięcy i z tego co widzę po samej próbie to paradoksalnie pandemiczna rozłąka wyszła nam na dobre. Teraz wystarczy iskra, pomysły i będziemy tworzyć materiał na kolejną płytę. ©©